

Umiesz liczyć – nie licz na Amerykę

3 września 2021

„New York Times” publikuje lament Samiego Sadata – ostatniego dowódcy korpusu specjalnego afgańskiej armii pod patronatem amerykańskim, przed jej totalną klęską i przejęciem państwa przez talibów. To pouczająca lektura – zwłaszcza dla obywateli innego państwa, wiszącego u amerykańskiej klamki i liczącego na USA w sprawie swojego bezpieczeństwa.

Sadat był militarną gwiazdą Afganistanu – 36-letnim trzygwiazdkowym generałem, dowódcą 15-tysięcznego 215 Korpusu Mainwand, w ostatnich dniach starć z talibami mianowanym szefem elitarnych wojsk specjalnych. Ma za sobą 20 tysięcy followersów na Twitterze i – podobno – żelazną lojalność swoich ludzi. Tymczasem jego list w amerykańskim dzienniku brzmi jak skarga ośmiolatka, którego duże łobuzy pobiły na podwórku i nikt go nie bronił.

Zostaliśmy zdradzeni

Lament pojawia się już w tytule tekstu: „Dowodziłem afgańskimi żołnierzami. Zostaliśmy zdradzeni”. Dalej generał oświadcza, że jest „wycieńczony, sfrustrowany i rozgniewany”. Albowiem co prawda „armia afgańska straciła wolę walki”, ale nie z własnej winy: „to z powodu rosnącego poczucia opuszczenia przez naszych amerykańskich partnerów oraz braku szacunku i niełojalności odzwierciedlonych w tonie i słowach pana Bidena w ciągu ostatnich kilku miesięcy”.

Młody generał wyznaje z nietypową u oficerów wysokiego stopnia wrażliwością: „boli mnie widok pana Bidena i zachodnich urzędników, którzy obwiniają armię afgańską o klęskę, nie wspominając o jej fundamentalnych przyczynach”.

A te przyczyny oczywiście w ogóle nie leżą po stronie Afgańczyków i ich armii. Albowiem rządowa afgańska armia została „zdradzona przez polityków i prezydentów”. En passant generał Sadat wspomina tu prezydenta Afganistanu Aszrafa Ghaniego, który uciekł z kraju, ale większy żal ma do USA.

Obok Bidena – także do Trumpa: jego umowa z talibami z lutego 2020, dotycząca terminu wycofania wojsk amerykańskich „skazała na zagładę” afgańską armię, albowiem „ustanowiła datę wygaśnięcia amerykańskiego zainteresowania tym regionem”.

Okazuje się, że wojsko, w które USA wpompowały 83 miliardy dolarów, nie jest w stanie walczyć, jak wuj Sam nie trzyma go za rękę.

Z jednej strony chodzi zapewne o ogólne wrażenie, że za proamerykańską armią afgańską stoi potęga militarna USA. To temperowało nieco agresywne zapędy mudżahedinów, którzy boją się amerykańskich wojaków, tak jak wszyscy inni na świecie. Ale chodzi o coś więcej: także o to, że – przynajmniej tak wynika z narracji generała Sadata – afgańcy dowódcy w ogóle nie są zdolni do podejmowania własnych decyzji, kiedy Amerykanie im nie mówią, co robić: „Utrata bojowego wsparcia logistycznego, które Stany Zjednoczone zapewniały przez lata, nas sparaliżowała, podobnie jak brak jasnych wskazówek ze strony przywództwa USA i Afganistanu”.

Kontraktorzy odchodzą nocą

Poza kompletną niesamodzielną decyzyjną – odejście Amerykanów spowodowało także bardzo konkretne braki rzeczowe. Wuj Sam zabrał ze sobą swoje zabawki.

Nie, to było nieprecyzyjne: swoje zostawił. Ale koledzy, którzy z nim przyszli, zabrali wszystko, co do najmniejszej kredki.

Amerykańska armia polega w wielkim stopniu na outsourcingu:

gdzie nie ruszy się państwowe wojsko, w ślad, jak wrony za pługiem, idą prywatne firmy, kręcące lody na wojnie. Legendarnym przykładem użycia takich „kontraktorów” było zlecenie przez CIA zewnętrznym firmom torturowania podejrzanych w Guantanamo i innych „czarnych dziurach”, także w Polsce. Po potężnej politycznej drace, którą te rewelacje wywołały, departament obrony USA przestał podzlecać tortury. Ale nadal podzleca wszystko inne.

„Straciliśmy wsparcie logistyczne i konserwacyjne podwykonawców, którzy mają kluczowe znaczenie dla naszych działań bojowych” – zawodzi gen. Sadat.

Kontraktorzy zabrali ze sobą również autorskie oprogramowanie i systemy uzbrojenia; fizycznie usunęli nasz śmigłowcowy system obrony przeciwrakietowej. Zniknął również dostęp do oprogramowania, na którym polegaliśmy do śledzenia naszych pojazdów, broni i personelu. Skończył się dostęp do obserwacji celów w czasie rzeczywistym.

No i oczywiście, zapomnijcie o serwisie: „kontraktorzy utrzymywali sprawność naszych bombowców, samolotów szturmowych i transportowych przez całą wojnę. Do końca czerwca większość z 17 000 kontraktorów wsparcia wyjechała. Co znaczy, że jakkolwiek problem techniczny oznacza teraz, że samolot – śmigłowiec Black Hawk, transportowiec C-130, dron obserwacyjny – zostanie uziemiony”.

Jankes nie strzela z kałacha

Albowiem jednym z najważniejszych atutów w wojnie w Afganistanie – począwszy od czasów radzieckiej interwencji i wyposażenia mudżahedinów przez CIA w wyrzutnie rakietowe – jest przewaga w powietrzu. Amerykanie ją zapewniali – a teraz przestali. „Z dnia na dzień efektywnie zmieniły się amerykańskie zasady wsparcia powietrznego dla afgańskich sił bezpieczeństwa, co ośmieliło talibów. Wyczuwali zwycięstwo i wiedzieli, że to tylko kwestia przeczekania Amerykanów”.

Jednym ze źródeł problemu jest fakt, iż „siły afgańskie były szkolone przez Amerykanów przy użyciu amerykańskiego modelu wojskowego opartego na wysoce technicznych jednostkach rozpoznania specjalnego, śmigłowcach i nalotach. Straciliśmy przewagę nad talibami, gdy znikło wsparcie z powietrza i skończyła się amunicja”.

No bo na tym też polega amerykańska przyjaźń: niezwykle wyrafinowana broń, którą czasem komuś udostępniają w akcie łaskawości, wymaga równie wyrafinowanych materiałów eksploatacyjnych – kupowanych oczywiście od tych samych producentów lub ich spółek-córek. To nie jest kałasznikow, do którego można załadować każdą kulę, byleby z grubsza pasowała kalibrem. Od wielu już lat – a na pewno od czasów George’a W. Busha – jedną z podstawowych funkcji amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego jest przepompowywanie środków budżetowych do firm zbrojeniowych, stanowiących potężne źródło funduszy kampanijnych dla obu amerykańskich partii, ale republikanów zwłaszcza. Nie wystarczy sprzedać i zarobić – lepiej raz sprzedać, ale zarabiać w nieskończoność. Stąd armie, które polegają na amerykańskim sprzęcie, są do zgonnie skazane na amerykański serwis i łańcuch dostaw. Bez tego czołg stanowi tylko bardzo duży przyrząd wsparcia drążka do suszenia prania.

Dlatego nasze kolejne zakochane w Ameryce rządy, bezrozumnie kupując nieprzytomnie drogie amerykańskie zabawki, narażają na absurdałne wydatki kolejne pokolenia. Alternatywą jest posiadanie bardzo drogiego sprzętu, który może rzeczywiście służyć do „odstraszania” – to znaczy stać na granicy i groźnie wyglądać.

Armia odchodzi, kolaboranci zostają

Ale nawet nie to jest najważniejsze z naszego, wschodnioeuropejskiego, a szczególnie polskiego punktu widzenia. Najważniejsza nauka, która płynie z afgańskiej lekcji, brzmi jak odzywka przed klasówką z matematyki w szkole

podstawowej: umiesz liczyć – licz na siebie.

Afganistan, po 20 latach amerykańskiej okupacji, był jednym ze sztandarowych programów zaprowadzania demokracji i zachodnich standardów. Tymczasem dwaj najbardziej nienawidzący się prezydenci w historii zmian warty w Białym Domu podjęli tę samą decyzję i rzucili go lwom na pożarcie. Ci wszyscy wspaniali amerykańscy żołnierze, którzy mieli być dla proamerykańskich władz Afganistanu gwarancją bezpieczeństwa i znakiem zaangażowania mocarstwa – zniknęli jak sen jaki złoty, pozostawiając dziesiątki tysięcy swoich kolaborantów na łaskę talibów.

Oczywiście, opowieści gen. Sadata o tym, jak biedna rządowa armia nie była w stanie walczyć bez wsparcia Amerykanów, są tyleż infantylne, co żałosne. Jego wojsko liczyło 350 tysięcy ludzi, było przez Amerykanów uzbrojone po zęby, a nawet jakoś tam wyszkolone. Armia talibów to 60-tysięczna zgraja fanatyków w sukienkach i sandałach, posługująca się bombami domowej produkcji i resztkami zdobycznej radzieckiej broni sprzed 4 dekad. Problem polega na tym, iż to wspierane przez Amerykanów wojsko było przez wielu Afgańczyków, nie tylko talibów, postrzegane jako organizacja współpracująca z okupantem – zwłaszcza, że ofiary cywilne powodowane przez siły antytalibskiej koalicji często przekraczały liczbę ofiar talibów. Jak tłumaczą reporterzy znający Afganistan, talibowie mogą być obrzydliwi, ale to przynajmniej Afgańczycy; mogą narzucać niepopularny, opresyjny reżim – ale nie są obcą siłą okupacyjną.

To wniosek z polskiego punktu widzenia mniej istotny. Wojna domowa raczej nam nie grozi.

Bezstresowa ewakuacja z RP

Gwoli ścisłości: osobiście jestem pewna, że nie grozi nam także wojna z wrogiem zewnętrznym. Zwłaszcza, jeśli tym wrogiem miałyby być Rosja, która – w moim najgłębszym

przekonaniu – nie ma żadnego interesu w najeżdżaniu kraju pozbawionego dóbr naturalnych i rosyjskiej mniejszości, za to pełnego nieprzyjaznej ludności.

Ale przecież jestem w tym przekonaniu wybitnie osamotniona. Cała narracja o wspaniałości bliskiego sojuszu z USA, żalosne zebranie o obecność w Polsce amerykańskich żołnierzy, idiotyczne wydatki na absurdałny amerykański sprzęt – oparte są na straszeniu rosyjskim najazdem. Że niby chodzi o to, żeby Putin wiedział, że atakując Polskę, zadziera z Ameryką.

Gdyby Putin zaatakował Polskę, amerykański prezydent wynegocjuje z nim dwa tygodnie zawieszenia broni, żeby bezstresowo ewakuować 5 tysięcy żołnierzy najwspanialszej armii świata.

I tyle będziemy ich widzieli.

Autorstwo: Agnieszka Wołk-Łaniewska

Źródło: pl.SputnikNews.com